

Księga wyjścia – 40

30 grudnia 2019

Ballada o zimnym Kole.

Mam nadzieję, że konduktorowi nie będzie się chciało sprawdzać biletu – pomyślałem gdy wreszcie podjechał odpowiedni skład. Jeździmy tą trasą codziennie i ponieważ mamy wykupione bilety miesięczne, to gdy trafi się znajomy konduktor, nawet ich nie sprawdza.



Wyłaniamy się zza zakrętu i za zakrętem znikamy. Trochę jak pociąg. Ten krótki odcinek pomiędzy, to całe nasze życie. Dokładnie tak myślałem, gdy jeszcze stałem zziębnięty, opakowany w kaptur, szalik, szczękając z zimna zębami i przestępując z nogi na nogę czekając jeszcze na peronie.

Czasami przeszedłem trzy kroki w jedną, licząc że filar osłoni, czasami kilka w drugą. Ale nic to nie dało. Nadal marzłem. W tej sytuacji najlepiej opuścić ciało i dać się ponieść wyobraźni. Celem jest droga. Szczęśliwi są jednak ci, którzy jej nie zgubią i nie pobłądzą w labiryncie wydeptanych wcześniej cudzych ścieżek. A przeklinają ci, którym zachciało się wydeptywać nowe, ale to oni zostaną zapamiętani.

Fajnie wyjść od razu zza tego zakrętu i trafić na właściwą przypisaną sobie trasę i trzymać się jej do samego końca. Najlepiej gdy jest prosta i mało skomplikowana. Przechodzimy i niezauważenie znikamy. Ot szkoła, studia, rodzina, wnuki, piach.

Tylko cholera czasami ciekawość świata każe nam zejść z wyznaczonego przez pokolenia szlaku, by zobaczyć i dotknąć nieznanego. No i niektórzy schodzą, inni jeszcze powybijają po drodze szyby w oknach. Tych też się pamięta.

Zawsze mnie coś podkusi by skrócić. Mimo, że robiłem to wiele razy, to zawsze mam problem, by wrócić na prostą. Mam bardzo kiepską orientację w terenie, a w przestrzeni życiowej jeszcze gorszą. Dlatego jest to dla mnie niezmiernie trudne, tym bardziej, że od bocznych odchodzą kolejne, niektóre ślepe, a niektóre całkiem fajne i ciekawe. Dosyć metaforycznie zacząłem, ale wszystko przez pewien przystanek. Konkretnie przystanek kolejowy na warszawskim Kole.

Było już dosyć późno gdy wracaliśmy ze spisywania kominów. Niekiedy los, zwany w Warszawie i okolicach transportem publicznym – czyli popularny ZTM, rzuci nas na egzotyczny przystanek Kolei Mazowieckich i równie popularnych SKM-ek. Jednym z nich jest dworzec Koło.

Peron na Kole zrobili na dosyć wysokim nasypie. Odgródzony siatką od osiedli jest czymś w rodzaju naziemnego metra z wiecznym przeciągiem. Wieje z każdej strony. Nawet pionowo w obu kierunkach. O ile w dzień temperatura nie była jeszcze tragiczna, to po zmroku zrobiło się znacznie chłodniej, a na przystankowym wale, doszedł do tego przenikliwy wiatr z paskudną mżawką. Zdecydowanie tym razem los rzucił mnie na złą drogę pomyślałem, gdy zatrzymywały się kolejne SKM-ki, ale zupełnie nam niepasujące. Czekając na właściwy pociąg opatulilem się wszystkimi kapturami i przestępując z nogi na nogę wyobrażałem sobie cokolwiek, by tylko nie myśleć o zimnie.

Miałem nieodpartą ochotę wsiąść do jakiegokolwiek składu, żeby chociaż się zagrzać. Nieważne gdzie, zawsze gdzieś bym wysiadł, bo do właściwego pociągu mieliśmy może kwadrans, a dla zmarzniętego człowieka to wieczność. Dlatego by nie myśleć o zimnie i wciąż jeszcze będąc w drodze przerobiłem ją w myślach na drogę życia. Zacząłem zastanawiać się gdzie szukać tej właściwej.

Na tę wymarzoną nigdy nie trafię, ale i te pomniejsze bywają ciekawe. Ta wymarzona zaczyna się horyzontem i horyzontem kończy. Przemierzam ją własnym tempem, a gdy mam ochotę kładę się na poboczu. Gdy zacząłem wyobrażać sobie niebo i jego układ chmur, w tym momencie megafony oznajmiły, że na peron wjedzie nasz pociąg. Zdziwiło mnie, że był prawie pusty. Pora powrotów z pracy i zazwyczaj wracamy w okrutnym ścisku. Gdy tylko wsiadłem poczułem uderzenie gorąca. Po usadowieniu się już na miejscu momentalnie zapadłem w drzemkę. Przez sen podałem bilet konduktorowi, pamiętam że przemknęło mi przez głowę jak wygląda jego droga, i spałem dalej.

Kończymy pomału spisywać nasz rejon, być może po nowym roku znowu pojawi się kolejne zlecenie. Kończymy spisywać i dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że ta praca była najprawdziwszym reportażem wcieleniowym. Pod przykrywką felietonów, które rządzą się innymi prawami mogłem bezkarnie pisać co mi w duszy gra.

Zakończenie to też czas podsumowania. Pomiędzy pięciusetmetrowymi willami ogrzewanymi fotowoltaiką lub geotermią, niewielka pięćdziesięciometrowa wałaca się chatka babci.

Przypomniało mi to pewną historię sprzed kilkunastu lat. Piłem wódkę z Kanadyjczykiem. Opowiadał o swoich wozach po świecie. Gdy już miał dobrze w czubie doszedł do Ameryki Południowej. Już nie pamiętam jaki to był kraj. Facet był nim jednak zachwycony. Jedyne co mu przeszkadzało, to nieszczelne ogrodzenie przez które widział nędzę. Usiłował mi wyjaśnić

swój dyskomfort, gdy jedząc na tarasie widział głodnych nędzarzy za płotem. Z jego punktu widzenia bieda psuła apetyt. Przeklinał hotel i biuro podróży, że mogli zrobić wyższe ogrodzenie. Bo jak to tak, płaci to chce w spokoju delektować się atrakcjami. A tu narażają go na niesmaczne widoki. To był cytat, bo facet cholernie mnie wkurzył. Był zdziwiony, że niezbyt ładnie go nazwałem i bez pożegnania wyszedłem.

Podobnie zapewne myśli część mieszkańców tych najbardziej wypasionych posesji. A może wkurza ich to, że starowinka wcale im nie zazdrości?

Tak czy inaczej złąziłem kawał terenu, o istnieniu którego zapomniałem. I wciąż widzę zestawienie twarzy uśmiechniętej staruszki, która nie ma płotu, pali drewnem i zaprasza na herbatę i surową minę właściciela drogiej posiadłości. Ta babcia wyglądała na szczęśliwą, czy on na starość też uraczy innych szczerym uśmiechem? Czy będzie podejrzewał każdego o nieczyste intencje. Człowiek niezdolny do podłości nie podejrzewa o podłość innych.

W szkole podstawowej wisiało w holu głównym takie hasło: „uczciwością i pracą ludzie się bogacą”. Staruszka nie miała grosza, ale wyglądała na szczęśliwą. Właściciel fotowoltaiki tak się skrył, że nawet satelitarne zdjęcia google nie pokazują jego domu, tylko trawę z podjazdem. Dosyć zabawnie to wygląda i szczerze mówiąc gdybym miał szukać jakiegoś szubrawca, zacząłbym od takich właśnie domów, tych dziwnych miejsc, gdzie widać podjazd do niczego, a ze zdjęć ulicznych w takim miejscu jest plama.

Poczułem delikatne szturchnięcie. To kolega mnie obudził, żebym się zbierał bo wysiadamy. Do domu dotarłem już resztką sił.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info